EPOKA

ROK V. Warszawa, 15 sierpnia 1938 r. Nr 23 (126)

Treść: *MIECZYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI:* Wielkie doświadczenie. — *W. K. BIEŃKOWSKI:* Odwagi, panowie interpelanci! — *R. E. WERNER:* Przedrocznicowe spory, swary i uchwały. — O czym milczą przyjaciele ks. Trzeciaka. — *Z. NAŁĘCZ:* Dobre i złe partie. — *NATALIA WIŚNIEWSKA i WŁADYSŁAW ROMANOWSKI:* O najnowszych książkach. — Reportaż: Dachau, miasto grozy. — Artykuł Willi Schlimma o Czechosłowacji. — Z dnia na dzień.

Wielkie doświadczenie

Dnia 15-go sierpnia przypada osiemnasta rocznica bitwy pod Warszawą. W dniu tym pod znakiem „Czynu chłopskiego" demonstrować będą olbrzymie rzesze Polski Ludowej swe przywiązanie do niepodległości i demokracji, swą niezłomną wolę do współgospodarzenia w wyzwolonej i odbudowanej Ojczyźnie.

Poniżej drukujemy napisany dla „Epoki" artykuł naczelnego redaktora „Robotnika", członka prezydium Centralnego Komitetu Wykonawczego Polskiej Partii Socjalistycznej, ob. Mieczysława Niedziałkowskiego. Sądzimy, że obyw. M. Niedziałkowski, blisko wówczas stojący rządu Witosa i Daszyńskiego, a obecnie czołowy przedstawiciel obozu demokratycznego, jest najbardziej powołany do przeprowadzenia oceny ówczesnych doświadczeń z punktu widzenia demokracji polskiej.

Redakcja.

Osiemnaście lat temu przeżywaliśmy dni bardzo trudne w dziejach młodej państwowości polskiej.

Wówczas wybiła *godzina decyzji* i dla myśli politycznej, i dla sumienia, i dla charakteru różnych kierunków i obozów, na które dzieliła się Polska. *Godzina decyzji* stanowiła zarazem *godzinę egzaminu dziejowego*, egzaminu partyj, organizacyj i *jednostek*...

Jak ten egzamin wypadł i jakie są tego egzaminu *doświadczenia?*

Nie był to egzamin łatwy... Trzeba pamiętać, że Polska borykała się w r. 1920 z przeszkodami, z trudnościami społeczno - gospodarczymi, politycznymi i psychologicznymi, które dzisiaj należą już, w znacznej mierze, do kategorii wspomnień; proces scalania trzech zaborów w jedną całość państwową nie był jeszcze wcale ukończony; skutki gospodarcze wielkiej wojny i okupacji odbijały się wciąż na całym życiu kraju; duża część armii miała cechy formacyj ochotniczych o własnym, swoistym niekiedy, obliczu ideowym; siła atrakcyjna bolszewizmu wyglądała zgoła inaczej, niż w chwili obecnej; świeża katastrofa Denikina dodała mu mnóstwo pewności siebie i rozmachu; potęga, która maszerowała poprzez Wilno ku Warszawie, wydawała się tysiącom umysłów w Europie Zachodniej, — potęgą, niemożliwą do przezwyciężenia.

W samym społeczeństwie polskim spotkaliśmy w owym przełomowym czasie — obok zdecydowanej woli obrony — i nie małą falę *defetyzmu*, przybierającego formy najrozmaitsze, znane z setek przykładów historycznych. Koncepcja przeniesienia siedziby Rządu do Poznania, co musiało być w warunkach tamtej epoki rozumiane, jako koncepcja *przewrotu państwowego* pod egidą mocarstw obcych i w obliczu nieprzyjaciela; surowa, zacięta, chwilami wręcz zażarta, krytyka poczynań naczelnego dowództwa, co musiało podrywać i w wojsku zaufanie do kierownictwa; masowa ucieczka „na zachód" sfer najlepiej sytuowanych; wywożenie kapitałów, zapasów „safesowych" itp., — wszystko to razem wzięte stanowiło objaw typowy „pęknięcia duchowego" pewnych kół społeczno - politycznych.

Przełamanie tego „pęknięcia" nastąpiło z chwilą powołania do życia *Rządu Obrony Narodowej.* Nie był rzeczą przypadku ani skład osobisty Rządu, ani też jego *charakter ideowo - polityczny.* Inicjatywa wy-

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza gr 50

szła od Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. Sam Piłsudski, o ile dobrze pamiętam, chciał w pierwszej chwili, by *koalicyjność Rządu* została jaskrawiej podkreślona przez udział w nim *oficjalnego przedstawiciela* ówczesnego obozu „narodowego" — prof. St. Głąbińskiego. Zgodził się wszakże chętnie — wobec sprzeciwu *całej* lewicy — na kandydaturę prof. Wł. Grabskiego, jako *pośredniego* — że tak to określę — męża zaufania kół „narodowych". Nam chodziło, przy naszym sprzeciwie, o naprawdę *jednolity* kierunek prac rządowych, o *zupełne oderwanie* jakiejkolwiek dziedziny wysiłku obrony od nieufności i animozji personalnych, od nastrojów przegranej, od wałkowania przyczyn klęski kijowskiej, od wszelakich „bocznych torów" intryg, naszeptywań, podejrzeń.

Temu zadaniu ogromnemu Wincenty Witos oraz Ignacy Daszyński, jako współkierownicy Rządu Obrony Narodowej, sprostali najzupełniej. Ich nazwiska, zestawione ze sobą, stanowiły symbol tego faktu dziejowego, że w imię obrony Niepodległości powstały w Polsce przeciw najazdowi bolszewickiemu *masy chłopskie i masy robotnicze*. W tym punkcie — powiedział później Lenin — popełniono ze strony sowieckiej *błąd zasadniczy:* nie doceniono wspaniałej siły żywotnej idei Polski Niepodległej w najgłębszych szeregach Polski Pracującej.

Chcę być w pełni sprawiedliwym w mojej ocenie tamtych zdarzeń. Ówczesny obóz „narodowy" oddał mnóstwo ludzi do szeregów wojskowych, ofiarował współdziałanie bez zastrzeżeń „armii ochotniczej" gen. Hallera. To wszystko prawda. Ale *politycznie* nie wytrzymał „próby nerwów". Nie umiał otrząsnąć się, chociażby na kilka tygodni, z niechęci czy bodaj z nienawiści do Piłsudskiego. *Stuszował się*. Można by to nazwać *aktem lojalności* z jego strony, gdyby nie to, że tym aktem przyznał zarazem niedojrzałość własną do „dynamizmu" w godzinach rozstrzygnięć historycznych.

Sądzę, że takie jest *wielkie doświadczenie* czerwca, lipca i sierpnia roku 1920. Gdyby Rząd Witosa-Daszyńskiego powstał o kilka miesięcy wcześniej, — moglibyśmy uniknąć wielu dramatów. Trzeba zawsze *umieć uruchomić w porę* wielkie siły realne, drzemiące w polskich miastach i po wsiach polskich. Dzisiaj, po latach osiemnastu, jesteśmy świadkami i aktorami sytuacji mniej dramatycznej *bezpośrednio*, ale tak samo najeżonej tysiącem trudności i tysiącem niebezpieczeństw. Na odcinkach niektórych trudności *potencjalne* są bodaj jeszcze większe, niż wtedy, w sierpniu roku 1920. *Trzeba uruchomić w porę* potężne siły realne, istniejące w kraju, — trzeba je uruchomić *dla obrony*... kosztem systemu rządzenia.

Koszt nie jest znowuż tak... ryzykowny.

MIECZYSŁAW NIEDZIAŁKOWSKI.

Odwagi, panowie interpelanci!

„Naszej dydaktyki alfą i omegą ma być: ażeby w szkołach mniej było hałasu, nudy i bezpłodnych wysiłków, a więcej spokoju, przyjemności i gruntownych postępów w pracy — w państwie zaś, aby mniej było ciemnoty, zamieszania i niezgody, a więcej światła, porządku, pokoju i ciszy".

(Jan Amos Komeński, „Wielka Dydaktyka")

W latach 1592 — 1670 żył jeden z największych pedagogów ludzkości, Czech z pochodzenia, Jan Amos Komeński. Był pierwszym działaczem i myślicielem, który rozumiejąc olbrzymią wagę wychowania przyszłych pokoleń, poświęcił temu zagadnieniu całe swoje pracowite życie. Komeński był właściwym twórcą nowoczesnej pedagogiki, tym, który przyczynił się do ostatecznego przezwyciężenia średniowiecza w metodach wychowania i nauczania. Był czas, że imię jego rozbrzmiewało w całym cywilizowanym świecie, a sławę jego równać by można ze sławą Erazma Rotterdamskiego.

W r. 1631 wydaje Komeński pierwsze swoje o światowym rozgłosie dzieło „Janua linguarum reserata" (Drzwi języków otworzone), które w krótkim czasie przetłumaczone zostało na wszystkie języki Europy i kilka azjatyckich. „Janua" stworzyła typ książki szkolnej, który utrzymał się do naszych czasów. Dzisiejsze „pierwsze książki do czytania — pisze prof. Kot — są tylko lepiej i wszechstronniej ułożoną Janują Komeńskiego. W r. 1658 wydaje „Orbis pictus" (Świat w obrazach), którym kładzie fundamenty pod naukę poglądową, dążącą do bezpośredniego zetknięcia ucznia z rzeczą, którą ma poznać. W tym również czasie ukazała się jego „Wielka Dydaktyka". Jest to — pisze prof. Kot — pierwszy całkowity system pedagogiki w literaturze europejskiej, prawdziwa kopalnia mądrości wychowawczej. W wielu kwestiach nauka Komeńskiego jest i dziś jeszcze cenna, zawiera bowiem linie wytyczne, które dotąd nie zostały dostatecznie uwzględnione.

Działalność Komeńskiego nie ograniczała się do teorii. Realizował jako nauczyciel swoje postulaty, reformował szkoły, z którymi się stykał, stawiał w nich naukę na niebywałym dotąd poziomie. Miarą jego zasług i popularności może być fakt, iż parlament angielski dyskutował sprawę powierzenia mu reformy szkolnictwa angielskiego. W działalności swojej był Komeński przez wiele lat blisko związany z Polską. Chroniąc się przed prześladowaniem religijnym osiedla się w Lesznie wielkopolskim i tu obejmuje funkcje nauczyciela w gimnazjum utrzymywanym przez Leszczyńskich. Nie wchodząc w szczegóły reform wprowadzonych przez Komeńskiego, zazna-

czmy tylko, że ten cudzoziemiec położył olbrzymie zasługi nad wprowadzeniem do szkoły języka polskiego. Naczelną bowiem zasadą wypowiedzianą w „Wielkiej Dydaktyce" było, że szkoła elementarna jest szkołą języka ojczystego.

Rolę Komeńskiego najlepiej uwydatni fakt, że książki jego były przez dziesiątki lat podstawowymi podręcznikami w szkołach całej Europy, a w końcu XIX w. ukazało się wiele wydań głównych jego dzieł. W Polsce uwydatnił się wpływ Komeńskiego w odrodzeniu szkolnictwa w II poł. XVIII w. Szkoły Pijarów realizowały jego wskazania, a dzieła, jak np. „Orbis pictus" wielokrotnie odbijano w drukarniach Pijarów. W w. XIX wydane w Warszawie podręczniki do nauki języków nosiły tytuł „Komeniusz", lub „Mały Komeniusz", a „Wielka Dydaktyka" czołowe zajmowała miejsce przy kształceniu nauczycieli. Ostatnie jej polskie wydanie nosi datę 1934 r.

Jest chyba najlepszym dowodem wielkości i trwałości dzieła Komeńskiego, jeśli w dziedzinie nauczania, które tyle przeszło w ciągu wieków rewolucyj — dziś, po trzystu latach, sięgamy do niego po naukę. Istnieje w Polsce jeszcze jeden pomnik jego pamięci: szkoła, w której nauczał, którą zreformował, szkoła, która potem stała się drogowskazem, jak wydźwignąć szkolnictwo z dna upadku i rozkładu. Szkoła ta — Gimnazjum w Lesznie — nosi imię swego odnowiciela, jest to najskromniejszy pomnik jaki Polska winna Komeńskiemu.

I oto nieznane dziś szerszemu ogółowi nazwisko Komeńskiego wypłynęło nagle, odbiło się głośnym echem o mury Sejmu. Czy postanowiono przypomnieć jego zasługi, uznano za potrzebne wskrzesić ideał jaki ożywiał całą działalność Komeńskiego, ideał streszczający się w słowach — więcej światła? Niestety! Najczarniejsza z sotni, międzynarodówka kołtuństwa, w swoim, najbardziej ponurym w dziejach kulturkampfie, podniosła rękę i na ten skromny pomnik, którego zresztą nie wzniosła Komeńskiemu potomność, a który wykuł on sam, swoją pracą. Zażądano usunięcia imienia Komeńskiego z gmachu gimnazjum w Lesznie. Ubóstwo myślowe przedstawiło Polsce nowy portret Komeńskiego. Cytujemy za jednym z organów obskurantyzmu z dn. 22 lipca b. r.:

„Komeński, żyjący w latach 1592 — 1671, był mistrzem tajnego zakonu palmowego, patronem masonerii europejskiej, prekursorem laicyzacji w wychowaniu oraz brał udział w organizowaniu najazdu szwedzkiego".

Międzynarodowy awanturnik, organizujący zbrojne najazdy, deprawator młodzieży (laicyzacja!) i patron masonerii Oto czego dowiedzieli się z historii nasi interpelanci. Obraz godny tych, którzy go malowali — ale czy godny również, mimo wszystko, murów Sejmu, w których go bez słowa sprzeciwu wystawiono, czy godny tradycji polskiej kultury? Czy naprawdę zaszliśmy tak daleko, a jednocześnie umysłowo spadliśmy tak nisko, że jednym słowem mason niweczyć można największe zasługi, najtrwalsze nawet zdobycze?

Tzw. dziś walka z masonerią to niszczenie wszystkiego co stoi na drodze pochodowi kołtuństwa. Że zdumiewającą ignorancją, wytłumaczalną jedynie ciemnotą odbiorców, ze swoistą hucpą endecką rzuca się niepoczytalne w swej demagogii hasła, rzuca się na żer wyjącej tłuszczy ochłapy sensacji, buduje się w ten sposób nową „narodową" kulturę. Jeśli molochowi obskurantyzmu rzucimy na żer wielkiego nauczyciela Jana Amosa Komeńskiego, mamy prawo żądać *konsekwencji*. Wykreślając jego imię z polskiej kultury, niechaj potępią tych, którzy na nim oparli swoją reformatorską pracę: szkoły Pijarów. Wypalając ogniem ślady masoństwa, niechaj odważą się potępić dzieło Komisji Edukacyjnej, w której większość stanowili masoni; niechaj z równym tupetem zażądają zwalenia pomników masonów: ks. Józefa Poniatowskiego i Wojciecha Bogusławskiego, twórcy narodowego teatru polskiego. Wszak pomniki te są bardziej jeszcze widoczne, — stoją w sercu Warszawy! Niechaj znikną z kart dziejów Polski nazwiska Ignacego Potockiego, Niemcewicza, Godebskiego i tylu innych, niechaj Polskie Radio nie ośmieli się nadawać muzyki Elsnera, twórcy narodowej opery, ani Kurpińskiego! A wreszcie, rzecz najstraszniejsza, co robi w hymnie narodowym imię masona Jana Henryka Dąbrowskiego? Skąd pieczołowitość dla tradycji legionów Dąbrowskiego, legionów, które szły do walki o Polskę z emblematami masońskimi na rozwiniętych sztandarach?

Odwagi, panowie! Nie ma historii Polski, historia „narodowa" zaczyna się w momencie, kiedy pierwszy korporant złamał laskę na głowie studenta Żyda, kiedy wystawiono pierwszą pikietę przed żydowskim kramikiem. To jest jedyna konsekwentna droga, jaka wam została, każda inna będzie zwyczajnym oszustwem, kłamstwem tchórzów, lękających się broni, którą władają!

I niechaj nie ośmieli się kołtuństwo nazywać tego stanowiska obroną masonerii. Między tymi bowiem, których historia uznała za masonów, obok wielkich zasłużonych jednostek, wyższych ponad wszelkie ujadanie, możemy wskazać wielu równie niesławnej pamięci jak ta, którą zostawią po sobie interpelanci w sprawie Komeńskiego.

Jeden jeszcze zarzut podniesiono przeciw Komeńskiemu: organizował najazd szwedzki. Prawda, Komeński gorąco powitał króla szwedzkiego, a więc solidaryzował się z najazdem. Ale czyż wypada, aby przypominać luminarzom z poselskiej trybuny, że to samo zrobiła olbrzymia część *polskiej* szlachty, że to samo zrobił późniejszy bezsprzeczny bohater Jan Sobieski? Zapewne nie za to czcimy Sobieskiego i nie to stało się tytułem do zasług Komeńskiego. Jeśli zaś idzie o nazwanie roli Komeńskiego „organizowaniem najazdu", to sąd ten oparty jest na domowych archiwach panów interpelantów.

Jedno nas tylko w tej ponurej sprawie pociesza: interpelacja sejmowa nie doczeka się przekładu na tyle języków, ile ich mają dzieła Komeńskiego i nie na niej pokolenia będą budowały kulturę polską.

W. K. BIEŃKOWSKI

Przedrocznicowe spory, swary i uchwały

Krakowski Zjazd powiatowy Stronnictwa Ludowego postanowił, organizując obchód Czynu Chłopskiego, zaprosić do udziału w nim wszystkie stronnictwa demokratyczne, działające na terenie powiatu. Zaproszenie wystosowane zostało do P. P. S. i do Stronnictwa Pracy. Zdawałoby się, rzecz jasna, prosta i zrozumiała A przecież — teraz dopiero rozpoczęły się trudności.

Wkrótce po tej uchwale niektóre pisma demokratyczne przyniosły wiadomość, że Zarząd Wojewódzki Stronnictwa Pracy uchwalił jednogłośnie odmówić udziału w obchodzie, ze względu na obecność P. P. S. Informacje te zdawał się potwierdzać fakt, że organ krakowski Stronnictwa Pracy, „Głos Narodu", rozpoczął intensywną kampanię, mającą na celu przekonać ludowców, że socjalistyczni robotnicy krakowscy, którzy poparli ich czynnie przed rokiem, nie godni są udziału w chłopskim święcie, że co więcej, nie są wcale demokratami. Ale oto nagle — „Nowa Rzeczpospolita" komunikuje, że nic podobnego, ze żadnej uchwały tego rodzaju nie było, że w całym województwie krakowskim Stronnictwo Pracy bierze udział w obchodzie Czynu Chłopskiego, że jedynie w Krakowie, ze względu na specjalne okoliczności Stronnictwo Pracy urządza obchód własny, wespół ze Związkiem Hallerczyków.

Szanujemy bardzo „Nową Rzeczpospolitę" i chętnie wierzymy jej komunikatom. Ale mimo wszystko sprawa nie jest taka prosta. Oczywiste jest dla każdego, że „sprawa krakowska", to przejaw walki różnych tendencji, nurtujących Stronnictwo Pracy.

Nie wdając się w szczegóły formalne, stwierdzić trzeba, że widocznie zapadło coś w rodzaju uchwały bojkotowej, skoro „Głos Narodu" prowadzi odpowiednią kampanię i skoro krakowskie Stronnictwo Pracy z racji jakichś specjalnych, nie sprecyzowanych bliżej przyczyn, urządza oddzielny obchód. Że uchwała taka zapaść mogła właśnie w Krakowie nie zdziwi nikogo, kto wie, że w krakowskim Stronnictwie Pracy rej wodzi p. Kuśnierz, bliższy ideologicznie „obozowi narodowemu", niż najbardziej umiarkowanej demokracji, działacz „Polskiego Frontu Gospodarczego", organizacji, patronowanej przez p. Budzyńskiego z „Jutra Pracy", wreszcie — jak wieść niesie, człowiek bliski Kurii Metropolitalnej krakowskiej. Stwierdzić trzeba z drugiej strony, że widać władze naczelne Str. Pracy zrozumiały całą absurdalność — a może tylko niecelowość taktyczną? — wykluczanie P. P. S. z obozu demokracji, skoro „rebelia" objęła tylko miasto i powiat Kraków, skoro wreszcie wojewódzkie delegacje Stronnictwa Pracy staną obok delegacji P. P. S. i klasowych związków zawodowych. Lokalny wybryk najbardziej reakcyjnych elementów Stronnictwa — oto, jak określilibyśmy incydent krakowski.

Ale jest to wybryk dający wiele do myślenia. Bo jeśli przez metropolitę Sapiehę prowadzą mosty do endecji, to inne koneksje p. Kuśnierza prowadzą do sanacji, oczywista tej o najbardziej oenerowym odcieniu. Weźmy choćby akcję „odżydzeniową"...

Nie byłby to bynajmniej jedyny kontakt wiodący od reakcyjnego skrzydła Stronnictwa Pracy do sanacji.

Oto „Nowa Rzeczpospolita" przyniosła kilka dni temu wywiad z p. Mańkowskim, prezesem Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, skierowany przeciw ozonowemu „Związkowi Młodej Polski". O panu Mańkowskim różnie mówiono. Przyjęliśmy więc z zadowoleniem zdania, świadczące o jego wierności dla zasad demokracji. Niestety, radość była przedwczesna. Bo oto p. Mańkowski ogłasza list do p. majora Galinata, nowego przywódcy Związku Młodej Polski, w którym to liście deklaruje się „osobiście" jako „przyjaciel Związku Młodej Polski", dementuje wywiad „Nowej Rzeczpospolitej" i oświadcza: „Gorąco pragnę, aby współpraca Związku Młodej Polski ze Zjednoczeniem Zawodowym Polskim układała się nadal jak najlepiej".

Więc z kim właściwie współpracuje p. Mańkowski i Zjednoczenie Zawodowe Polskie? Ze Stronnictwem Pracy, czy ze Związkiem Młodej Polski? Z „Nową Rzeczpospolitą" czy ze „Słowem" wileńskim, w którym ogłoszono jego list do majora Galinata? Bo chyba trudno przypuścić, że z obydwoma razem.

Nie podzielamy poglądu tych, którzy, po uchwale krakowskiej, odczuwali pewną satysfakcję, że oto Stronnictwo Pracy oddziela się demonstracyjnie od obozu demokracji w Polsce. Przeciwnie, komunikat, likwidujący „incydent krakowski", ma, naszym zdaniem, znaczenie pozytywne dla całej demokracji. Dla Stronnictwa Pracy, jako dla stronnictwa umiarkowanej społecznie demokracji jest miejsce w obozie demokratycznym. W walce z totalizmem nie wolno demokratom odrzucać współpracy choćby najbardziej umiarkowanych skądinąd grup. Ale — z jednym warunkiem: by te grupy pod demokratycznymi słowami nie przemycały faszystowskich, totalistycznych tendencji, by nie pomagały de facto totalistom. P. Kuśnierz rzucający anatemę na P. P. S. marzący o bloku „od Witosa po Dmowskiego" (notabene z Budzyńskim pośrodku), p. Mańkowski, dążący do współpracy z „przełomowymi chłopaczkami" ze Związku Młodej Polski, należą niewątpliwie do tej ostatniej kategorii.

***

Artykuł niniejszy był już złożony, gdy otrzymaliśmy Nr 132 „Nowej Rzeczpospolitej", w którym pismo, polemizując z endeckim „Kurierem Poznańskim" motywuje swe zasadnicze stanowisko w sprawie obchodu Czynu Chłopskiego, stanowisko bezwzględnie, całkowicie słuszne.

Pismo przypomina, że w r. 1920 w rządzie zasiadali przedstawiciele P. P. S., że wicepremierem tego rządu był socjalista Daszyński, przypomina „fakt bezsporny, że jedynym członkiem Sejmu Ustawodawczego, który poległ w tym czasie na polu walki, był członek P. P. S. ś. p. Napiórkowski" i kończy:

„Do jakiegoż stopnia dojść musiał w pewnych środowiskach uraz nienawiści partyjnej, ze sama myśl uczczenia pamięci bohaterów 1920 r. chwilowym chociażby uciszeniem aktualnych rozbieżności politycznych — jest piętnowana, jako realizowanie „frontu ludowego"?"

Słuszne, głęboko słuszne słowa. Ale czyż ich surowe upomnienie nie kieruje się z równą siłą przeciw kampanii „Głosu Narodu", nieznanym „szczególnym okolicznościom", które sprawiły, że Stronnictwo Pracy powiatu krakowskiego święci swój obchód Czynu Chłopskiego — osobno od Chłopów?

R. E. WERNER.

Z DNIA NA DZIEŃ

WZRUSZAJĄCA TROSKLIWOŚĆ

Prasę codzienną obiegła wiadomość o przygotowaniach do podjęcia na wielką skalę propagandy filohitlerowskiej w Polsce. „Nie zaszkodzi — pisał „Dziennik Bydgoski" — zwrócić baczniejszą uwagę, czy zapowiadane numery propagandowe nie ukażą się i w naszej prasie, a wtedy będziemy mogli już łatwo stwierdzić, skąd się bierze „natchnienie" tych wydawnictw do służenia propagandzie prohitlerowskiej w Polsce". „Rozchodzi się przede wszystkim o warszawski konserwatywny „Czas".

Organ dawnych stańczyków krakowskich, dotknięty w swej dostojności, ostro na to zareplikował i jednocześnie poczynił takie zwierzenia: „Inicjatywę do wydania tego rodzaju specjalnego numeru powzięliśmy samodzielnie, a nie jak insynuuje „Dziennik Bydgoski", aby być użytym w akcji propagandy hitlerowskiej, w głębokim przekonaniu o pożytku i celowości obiektywnego poinformowania opinii polskiej o sytuacji i warunkach życia społecznego i gospodarczego III Rzeszy".

Zawsze jest rzeczą godną największego uznania takie samorzutne poszukiwanie prawdy, zwłaszcza jeżeli czyni to prawica. Również z uznaniem podnieść należy obiektywizm „Czasu", przebijający z dalszych jego cennych zwierzeń. Bo czym się powodują dawni stańczycy, zamierzając wydać obecnie specjalny numer, poświęcony III Rzeszy? Tym oto, że „z zasługi organów żydowskich, prasy lewicowej i wreszcie prasy Frontu Morges, w prasie polskiej kursuje wiele kłamliwych, tendencyjnych i nie odpowiadających prawdzie informacyj i opisów na temat stosunków i efektów pracy III-ciej Rzeszy".

Jesteśmy dalecy od przypisywania „Czasowi" jakichś nędznych pobudek lub zdradzieckich motywów działania, z dobrą więc wiarą przyjmujemy jego oświadczenie o „samodzielnej inicjatywie".

Niezrozumiała jest tylko ta nadzwyczajna wrażliwość „Czasu" na krzywdy III Rzeszy, które jej wyrządza prasa polska, podająca tyle „kłamliwych i tendencyjnych opisów". Ale kogoż właściwie może nie rozrzewnić ta zabiegliwość troskliwa, czyje serce nie zabije żywiej na widok takich objawów niepohamowanej czułości opiekuńczej? Któż może się oprzeć urokowi niepokalanej platonicznej miłości „Czasu", który swój śmiertelny niepokój o dobre imię biednej III Rzeszy ukoić może tylko w upustach prawdy, mającej pochłonąć kłamstwo demokratycznej prasy polskiej?

Sprostowanie, które niczego nie prostuje

Ks. Trzeciak, który po „szturmie do kościoła św. Jacka" stał się przedmiotem ożywionej dyskusji, zdecydował się sam zabrać głos. Sprostował, zgodnie z prawdą, że hierarchia bynajmniej nie zamierzała go karać, lecz przeciwnie, awansowała go, przenosząc z kościoła filialnego na probostwo, „uchodzące za pierwszorzędne w Warszawie".

Nadto ks. Trzeciak uznał za stosowne wypowiedzieć się w sprawie swego udziału w pracach instytutu erfurckiego. Ks. Trzeciak pisze, z ironią oczywiście, dosłownie: „To paskudne, bo tam był szpieg, który przed kilkoma laty „Welt-Dienst" już opuścił — ale coś tam pewnie po nim jeszcze zostało, tam jechać nie wolno".

Widocznie zawodzi tutaj pamięć księdza prałata. „Szpieg", o którym mówi, to jest prawdopodobnie p. de Pottere, alias Le Clerque, false... i t. d. Nic nam o tym nie wiadomo, by ta osobistość już opuściła „Welt-Dienst". W każdym razie jeszcze niedawno wypłynął ten pan, właśnie w zasięgu „Welt-Dienstu" w aferze „kagulardów" francuskich. Ale nie jesteśmy tak blisko instytucji erfurckiej, jak ksiądz prałat i dlatego chętnie przyjmujemy do wiadomości, że p. de Pottere już nie zasiada w pracach erfurckich z księdzem Trzeciakiem.

Ale ks. Trzeciak „zapomniał", że zarzut szpiegostwa postawiony został, bynajmniej nie przez „żydomasonów", lecz właśnie przez konserwatywną, nawet klerykalną, prokuraturę szwajcarską i to nie tylko panu de Pottere, ale i jego szefowi, szefowi instytutu erfurckiego, p. Fleischhauerowi. Co więcej, cały ten instytut określony został przez tę prokuraturę, jako **„ośrodek propagandowo-wywiadowczy Trzeciej Rzeszy"**.

To są fakty, księże prałacie, których żadne wymyślania od „żydowskich posługaczy", „judaszowych srebrników", „żydomasonerii" itd. itd. nie zmienią.

Ks. Trzeciak daje do zrozumienia, że jeszcze raz chętnie by się udał na nowy kongres erfurcki, który wkrótce ma się odbyć. Należy więc stwierdzić wyraźnie, że pojechałby tym razem uprzedzony już o tym, jakim celom służy instytut, napiętnowany przez prokuraturę szwajcarską.

Osobliwi entuzjaści wolnoćci

Wpadło nam w ręce pisemko o dziwnym charakterze. Zmienia ono zgoła często nazwę. Nazywało się już „Szturmowiec Pracy" (z niemieckiego „Der S. A. — Mann"), potem przemianowało się na „Żołnierza Pracy", potem, o ile nas pamięć nie myli na „Bojownika Pracy". Obecnie nazywa się „Szturm Pracy". Pisemko to, któremu trudno znaleźć nazwisko, jest organem „robotniczym" Związku Młodej Polski (ozonowej, galinatowej odmiany).

W tym to pisemku, zaliczającym „Żydów, Niemców, Anglików i Belgów" do jednej kategorii „zamorskich diabłów", znajdujemy filipikę przeciwko „socjalistycznemu etatyzmowi", jakoby panującemu w Polsce, etatyzmowi, którego najważniejszym przejawem są — ubezpieczenia społeczne.

„Jest to nam wszystko obce, wrogie — grzmi młodociany autor — miażdżące tych, którym powinno służyć! System ten jest bowiem oparty na przymusie..." Wniosek: **„dobrowolne ubezpieczenia"**, wzorowane na prasłowiańskiej Zadrudze. Widzicie, jacy entuzjaści wolności! Ubezpieczenia społeczne oparte są na przymusie, niech żyje wolność nieubezpieczania robotników! Czy to Piast kiedy ubezpieczał swych parobków? Albo Bolesław Chrobry, czy płacił składki za tysiące swych sług? Wolność od ubezpieczeń, oto bojowe hasło ozonowo-oenerowych „szturmowców". Kto by tam mówił o wolności prasy, o wolności zgromadzeń, o wolności organizacji, o wolności strajków! To wszystko „żydowskie" wymysły, zgoła nieznane w prasłowiańskiej Zadrudze!

Tylko, zdaje się, że o „dobrowolnych ubezpieczeniach" czytaliśmy już w pra-

sie lewiatańskiej, a o Lewiatanie, jako żywo, także nikt nie słyszał w prasłowiańskiej Zadrudze. Sama nazwa żydowska, „Lewiatan" i choć w liczbie jego członków odsetek „krwi żydowskiej" jest mniejszy, niż w żyłach coniektórych antysemickich redaktorów i publicystów, ale bądź co bądź wcale pokaźny.

Czyżby „Szturm Pracy" był „Szturmem Lewiatana"?

Gdy sprzątnięto już z pola...

W dalszym ciągu swych nader interesujących „Rozważań na czasie", drukowanych na łamach „Zielonego Sztandaru", Józef Niećko ujawnia i opisuje drogi, którymi elitarne, antydemokratyczne prądy usiłują przedostać się na wieś, zwłaszcza do młodzieży chłopskiej. „Najbardziej „masowym" wyrazem wychowywania wsi przez naprawiacko-szlacheckich elitarystów — jest akcja „Siewowego" Związku Młodej Wsi" — stwierdza publicysta wiciowy. Jak wyglądają metody wychowawcze, stosowane przez tę czołową sanacyjną organizację młodzieży, można przekonać się z obrazu t. zw. dożynek, urządzanych rok rocznie przez „Siew" oraz ze składu i nastroju zjazdów czy też zlotów tego Związku. Autor w słowach dosadnych, ale jak najwierniej oddających rzeczywistość, przedstawia istotną treść „wychowawczą" tych imprez. Oto np. przemiły, sielski nastrój, towarzyszący tym „dożynkom": „Wszędzie na tych świętach czołowymi postaciami są urzędnicy administracji państwowej. Oni odbierają symbole całorocznej pracy chłopskiej do zarządzania — i oni też udzielają zgromadzonym nieomylnych rad na drogę dalszego żywota „przy widłach i gnoju". Dla tych postaci reprezentujących aparat wykonawczo-administracyjny, biurokratyczny i policyjny, wytwarza się cześć niemal religijną. Po skończonym obrzędzie — uczczeni i wywyższeni biurokraci zapewniają o swej przyjaźni dla chłopa, przyobiecują poparcie — a nawet i „na dekadę" coś tam wstawią, skoro „rozochoceni" wychowankowie idei elitarnej śpiewają: „nasz starosta dobry pan, dał nam piwa pełny dzban". W ten sposób w duchowości młodego pokolenia chłopów sprawujących te obrzędy — kształtuje się wiarę w biurokrację — jako istotę życia narodowego i państwowego. Zarazem zabija się wiarę w swoją własną, chłopską człowieczość i obywatelskość — usiłuje się wychowywać człowieka bezkrytycznego, biernego, bezwolnie słuchającego urzędniczego katechizmu".

Ten sam budujący obraz hołdowniczo-czołobitnej postawy, wpajanej młodym chłopom przez sanacyjny Centralny Związek Młodej Wsi, dają jego zjazdy i zloty — dobrze znane i szeroko w prasie sanacyjnej sławione zloty „siewowe".

Autor stwierdza, że na wszystkich 13 zjazdach wojewódzkich tej „chłopskiej" organizacji byli wojewodowie — osobiście lub przez swych przedstawicieli: na zjeździe łódzkim był wojewoda Józewski, na zjeździe kieleckim woj. dr. Dziadosz, na stanisławowskim woj. Pasławskim i t. d.

Najbardziej jednak typowym był chyba zjazd województwa białostockiego, gdzie — jak przytacza red. Niećko — „przybyłego ministra Poniatowskiego młodzież witała okrzykami: **Niech żyje chłopski minister!"**.

Publicysta wiciowy widzi w tym standaryzowanym już schemacie siewowych dożynek i zlotów „sedno siewowo-naprawiackiego wychowania wsi na rzecz elitaryzmu". Ta osobliwego autoramentu organizacja „chłopska", ciesząca się jawną opieką najwyższych czynników administracyjnych, ta organizacja „chłopska" składająca hołdy oficjalnym przedstawicielom systemu zgoła nie demokratycznego, ideologii bynajmniej nie ludowej — jest dziś na wsi głównym rozsadnikiem antydemokratycznych i przeciwludowych wpływów. Nie przypadkowo trybuną tego związku jest (obok własnej prasy) właśnie organ usanowanych endeków, **Kurier Poranny!** Na łamach tego sympatycznego pisma p. Gierat w rozczulającej zgodzie sąsiaduje z p. Hrabykiem. I nie przypadkowo Centralny Związek Młodej Wsi popiera to, co się obecnie nazywa wykonaniem reformy rolnej — choć w programie ruchu ludowego i całej demokracji reforma rolna wygląda zupełnie inaczej. I jeżeli ostatnio pewną sensację wywołał dożynkowo - gulaszowy zatarg między „Siewem" a ozonowym Związkiem Młodej Polski — to nie trzeba zapominać, że przecież kłótnie między różnymi organizacjami sanacyjnymi należą do zwyczajnych, nikogo już nie emocjonujących akcesoriów antydemokratycznej — zawsze antydemokratycznej — akcji „konsolidacyjnej" tego obozu...

Red. Niećko bardzo słusznie zwraca uwagę na zjawisko najistotniejsze, najdosadniej chyba charakteryzujące „chłopską" postawę tego ministerialnego Związku Młodej Wsi: „Zapewne żadnemu ze zjazdowiczów nie przyszło do głowy, że przecież ten „chłopski minister" — pospołu ze swym naprawiackim obozem — nie przeciwstawił się nigdy pomysłom pomniejszającym obywatelskie prawa chłopów; że przecież ten „chłopski minister" stoi na gruncie elitaryzmu, że przechodzi spokojnie mimo „ran zapieczonych" na chłopskiej duszy i honorze — i że ten „chłopski minister" zapewne dobrze się czuje w Ozonie, wojującym o rychlejsze skoszarowanie społecznego życia w Polsce — jeśli ten „chłopski minister" tam wszedł i — nie wyszedł".

Stanowisko ruchu ludowego, przeciwne elitaryzmowi w **każdej** postaci i niezależnie od tego, **kto** ten elitaryzm realizuje — jest stanowiskiem **całej** demokracji. Bo cała demokracja solidaryzuje się z chłopską walką o wolność i prawo; z demokratyczną, prawdziwie obywatelską i głęboko patriotyczną postawą ruchu ludowego.

ELIZJUM I PIEKŁO DANTEJSKIE

Reportaż z Dachau, który drukujemy na str. 10, kończy się wyznaniem, zbiegłego więźnia, wyznaniem, pełnym bolesnego wyrzutu i beznadziejności: „nienawiść także ginie w Dachau. Pozostaje jedynie wstyd, że się jest człowiekiem". Słowa te brzmią jak ciężkie oskarżenie i potępienie świata za shańbienie i poniewieranie istoty ludzkiej. Ale ten biedny, skopany więzień o duszy wrażliwej, dręczonej nie widziadłami sennymi, narzuconymi przez rozgorączkowaną wyobraźnię, lecz obrazami życia i doświadczenia, pełnych dantejskiej i szekspirowskiej grozy, — przeoczył pewien szczegół nieznaczny. Przeoczył mianowicie to ,że świat nie zamyka się w ramach zasieków obozu, ani nawet w granicach imperium brunatnych koszul. Przeoczył, że o miedzę, gdzie kończy się mroczna rzeczywistość i rozpościera się świat inny — nie trzeba się wstydzić, iż się jest człowiekiem.

Oto równocześnie prasa codzienna doniosła, iż wielki okręt francuski „Normandie", płynąc do Nowego Jorku naraz zawrócił z powrotem do Hawru; zgadnijcie z jakiej przyczyny? Z tej oto, że ciężko zachorował jeden z członków załogi i trzeba go było odstawić do szpitala. Słusznie oświetla to zdarzenie „Kurier Polski":

„Niesłychana to rzecz, aby okręt zmieniał kurs, cofał się do punktu wyjazdu, zwłaszcza po tak długiej podróży. Ale gdy w grę wchodzi życie ludzkie, kapitan okrętu nie waha się. Mimo, że chorym jest członek załogi, mimo, że przez to właśnie, być może, kapitan mógłby narazić się na szczególną krytykę.

Widocznie jej się nie obawia. Rzecz dzieje się na francuskim okręcie, miarodajnym będzie sąd francuskiej zwierzchności i francuskiej opinii. Po tamtej zaś

stronie oceanu, dokąd okręt płynął i dokąd o 12 godzin się spóźni, czeka również opinia demokratycznego świata. A dla tej opinii człowiek pozostał odtąd jeszcze tak wysoką wartością, że zrozumie ona czyn kapitana „Normandie", choćby nawet na szwank był narażony ten i ów — jakżeż ważny w Ameryce — bussiness...

Ta wracająca z dalekiej drogi „Normandie" jest czymś bardzo charakterystycznym w czasach, w których żyjemy i czymś bardzo pięknym. Jest wśród mnożących się przykładów deptania i miażdżenia bez skrupułów człowieka, obserwowanych codzień już poniekąd z rezygnacją i otępieniem, czymś co budzi otuchę, podtrzymuje wiarę — w ludzkość."

Ale to miażdżenie człowieka jest już czymś naturalnym w krajach totalizmu. Warszawski „Czas", który w imię obrażonego sumienia i pod znakiem prawdy przygotowuje specjalny numer o III Rzeszy, niewątpliwie uwzględni tam wszystkie osiągnięcia i zdobycze „nowej" duchowej kultury i moralności. Ze swej strony polecić mu możemy także niniejszy zeszyt „Epoki", w którym znajdzie cenne w oczach katolików relacje o oblężeniu biskupstwa w Rottenburgu, stanowiące pouczający przyczynek do „nowej" tolerancji religijnej, oraz relacje z obozu w Dachau, które obrazują ducha „nowej" praworządności na wyższych stadiach cywilizacji ludzkiej.

O czym milczą przyjaciele ks. Trzeciaka

W prasie Zachodu mnożą się w ostatnich tygodniach wiadomości o nowych prześladowaniach wyznań chrześcijańskich w Trzeciej Rzeszy. Prześladowania te obejmują przede wszystkim Kościół katolicki, jako „międzynarodowy", a więc szczególnie znienawidzony przez „nazistów", uznających tylko międzynarodówkę nacjonalizmów, zjednoczonych w Faszinternie. Obejmują jednak również i protestantów, zwłaszcza zwolenników „Bekenntnisskirche", kierowanej przez pastora Niemöllera, znajdującego się obecnie w obozie koncentracyjnym.

„Neue Zürcher Zeitung", prawicowy, lubo stojący na gruncie demokracji, organ szwajcarski podaje szczegóły napadu hitlerowców na biskupa miasta Rottenburg w Wirtembergii, Dr. Sprolla. Podajemy ten artykuł dosłownie, z nieznacznymi skrótami:

„Jak wiadomo, w ub. mies. odbyły się w Rottenburgu w Wirtembergii demonstracje narodowych socjalistów przeciwko biskupowi Dr. Sprollowi. Chodzi o trzy następujące po sobie akcje, wykonane dnia 16, 18 i 23 lipca przy których, zwłaszcza zaś przy ostatniej, doszło do ciężkich wykroczeń. Jeszcze w kwietniu, wkrótce po wyborach namiestnik Rzeszy w Wirtembergii Murr zarzucił biskupowi Sprollowi w artykule, umieszczonym w sztutgardzkim „N. S. Kurier", że jako jedyny wyborca w mieście Rottenburg, oraz jako jedyny spośród biskupów niemieckich uchylił się od udziału w wielko-niemieckim plebiscycie i w równoczesnych wyborach do Reichstagu. Ten artykuł namiestnika Rzeszy, a więc najwyższego przedstawiciela administracji politycznej kraju, o akcentach groźby, miał wzburzyć namiętności polityczne przeciwko biskupowi. W każdym razie dano biskupowi do zrozumienia, że po swym zachowaniu się dnia 10 kwietnia nie jest on więcej mile widziany przez państwo narodowo - socjalistyczne jako głowa diecezji rottenburskiej i dlatego powinien ustąpić. To niezwykłe żądanie motywowano dziwnym zarzutem, że, uchylając się od udziału w wyborach, biskup naruszył przysięgę, którą złożył państwu. Zaatakowany w ten sposób osobiście przez namiestnika Rzeszy biskup opuścił miasto Rottenburg i był nieobecny przez pełne trzy miesiące. Powrócił dopiero 15 lipca, *na wyraźne żądanie papieża*. Już następnego dnia rozpoczęły się demonstracje, które powtórzyły się w dniach 18 i 23 lipca. Opis wypadków z dnia 23 lipca znajdujemy w sprawozdaniu wikariusza generalnego diecezji rottenburskiej, przedłożonego ministrowi Rzeszy dla spraw kościelnych i ogłoszonego w katolickim piśmie „Ostschweiz".

Rottenburg jest miastem powiatowym o 30 tys. mieszkańców. Popołudniu 23 lipca w sobotę, w okręgu rottenburskim w promieniu 50 km od miasta zmobilizowano na wieczór członków formacji narodowo - socjalistycznych. Celu nie podano, powiedziano jedynie, że uczestnicy mają się stawić po cywilnemu, że nie poniosą żadnych kosztów i że powrót nastąpi o północy. Na wiadomość o tych przygotowaniach, które po poprzednich demonstracjach zapowiadały się groźnie, udał się do Rottenburga arcybiskup Gröber z Fryburga, jako metropolita prowincji kościelnej Górnego Renu. Równocześnie ordynariat biskupi zawiadomił landrata, Gestapo i prokuraturę w Tübingen. Wydały one jednak swe zarządzenia dla utrzymania porządku z takim opóźnieniem że demonstracja odbyła się bez przeszkód. Zmobilizowani narodowi socjaliści, w liczbie trzech tysięcy ludzi weszli tymczasem do Rottenburga i pomaszerowali, śpiewając pieśń „Stellt die Pfaffen an die Wand!" („Postawcie klechów pod mur!") przed pałac biskupi, gdzie o godzinie dziewiątej wieczorem rozpoczęła się demonstracja przy akompaniamencie gwizdów, krzyków, ordynarnych obelg i gróźb.

Podług sprawozdania wikariusza generalnego demonstranci chcieli dostać biskupa w swe ręce. Wobec tego, że drzwi i okna pałacu biskupiego były zamknięte, demonstranci wyłamali kilka okien i, w liczbie jakich sześćdziesięciu do siedemdziesięciu wdarli się do wnętrza. Przechodząc przez pałac, poczynili szereg szkód; z gabinetu biskupa powyrzucali akta na ulicę, w jednym z pokoi *podpalili łóżko*. Na szczęście jeden z mieszkańców pałacu zdołał wyrzucić płonącą pościel do ogrodu, nim ogień mógł się rozszerzyć. Arcybiskup, biskup, wikariusz generalny i kilku kanoników klęczało tymczasem u ołtarza kaplicy domowej, modląc się głośno. I tu wdarło się dwudziestu demonstrantów. Szarpali oni arcybiskupa za suknie, nazywali go „zdrajcą ludu", wołali, że duchowni muszą opuścić Niemcy, dodając „*Z darmowym biletem jazdy do Moskwy*". Wreszcie, po kwadransie takich scen, interweniowała Gestapo i opróżniła pałac z demonstrantów.

Sprawozdanie stwierdza, że z trzech tysięcy uczestników demonstracji bynajmniej nie wszyscy byli zado-

woleni z roli, jaką im wyznaczono. Wielu nie wiedziało w ogóle po co ich wezwano; inni stali przed pałacem biskupim, ale nie brali udziału w obraźliwych i nienawistnych okrzykach. Biskup Sproll czuje się pewnym sympatii swych wiernych. W swym, datowanym z dnia 28 lipca liście pasterskim oświadcza on, że zdecydowanie odpiera zarzut, jakoby jego uchylenie się od głosowania dnia 10 kwietnia było czynem antypaństwowym. Wobec tego, że szło o „wolne i tajne wybory", miał on pełne prawo powstrzymania się od głosowania. Powstrzymał się zaś dlatego, że, głosując, musiał by oddać głos na ludzi, których antykościelne i antychrześcijańskie stanowisko wzmaga się z roku na rok. Wreszcie oświadcza uroczyście, że wytrwa na swym posterunku i pozostanie w Rottenburgu".

Tyle „Neue Zürcher Zeitung". Cała ta akcja toczy się — zwróćmy na to szczególnie dobitnie uwagę — jedynie za to, że biskup Sproll skorzystał z prawa, przyznanego teoretycznie każdemu obywatelowi Rzeszy, do wstrzymania się do głosowania na listę rządową. Nie ma tu mowy o jakimkolwiek wystąpieniu z ambony, jakimkolwiek użyciu kościoła do akcji politycznej. Wystarcza sam fakt nie podporządkowania się władzy w dziedzinie zupełnie „prywatnej", by tak rzec.

Jeszcze gorzej postępuje się z małymi proboszczami. Prasa ostatniego tygodnia przynosi wiadomości o trzech: w Winzenhausen w Badenii członkowie NSDAP ze swym kierownikiem na czele powybijali szyby w plebanii. Proboszcz został odesłany do obozu koncentracyjnego. W Flochingen w Wirtembergii nazajutrz po plebiscycie 10 kwietnia, oddział SS. zabrał proboszcza, którego podejrzewano, że głosował przeciwko liście rządowej, do ratusza, gdzie pokazywano go tłumom z okrzykiem: „Tak wygląda zdrajca ludu!" W Saarbrücken proboszcz Doering został aresztowany. A o ilu wiadomość nie dotarła zagranicę?

Nie inaczej dzieje się z protestantami. „Manchester Guardian" zamieszcza obszerną korespondencję z Niemiec poświęconą tej sprawie. Pismo stwierdza, że na 16 tys. pastorów ewangelickich w Niemczech, około 7 tys. należy do prześladowanej „Bekenntnisskirche". Jej wódz, pastor Niemöller, znajduje się w obozie koncentracyjnym. Ze wszystkich części kraju ciągną delegacje z żądaniem zwolnienia pastora Niemöllera. W instancjach centralnych interweniowało już około 30 takich delegacji — wszystko bezskutecznie. Wśród tych delegacji była m. i. szczególnie liczna delegacja górników z Zagłębia Ruhry. Wiadomości o Niemöllerze są niepokojące. Trzyma go się w zupełnym odosobnieniu, nie dopuszcza się doń książek, raz na dwa tygodnie wolno mu otrzymać i napisać po jednym liście. Milcząca samotność ma działać nań zabójczo. Zato popularność jego rośnie. Po wsiach Westfalii często widzi się fotografie pastora Niemöllera. Na zapytanie, poco je przechowują, mieszkańcy odpowiadają: „Byśmy nie zapomnieli modlić się za niego". Rzecz ciekawa, na tle prześladowań nastąpiło zbliżenie pomiędzy katolikami a protestantami. Tak np. w kościołach katolickich stale odbywają się msze na intencję Niemöllera.

Podobnych informacji możnaby w prasie Zachodu znaleźć o wiele więcej. Cytujemy jedynie najpoważniejsze. Zresztą — mówią one wszystkie to samo. Wynika z nich jasno i niedwuznacznie: faszyzm niemiecki, tak bliski sercu naszych totalizujących katolików, tak łagodnie traktowany nawet przez K. A. P., toczy w tej chwili walkę nieubłaganą ze wszystkimi wyznaniami chrześcijańskimi, które nie poddają się absolutnie jego „Gleichschaltungowi". Przyjaciele erfurccy naszych katolickich nacjonalistów wszelkich maści, ci sami przyjaciele, do których zdaje się wybiera się znowu awansowany obecnie ks. Trzeciak, przyjadą na kongres erfurcki po kolejnej eskapadzie rottenburskiej, po kolejnym rozbijaniu biskupiej kancelarii.

Jesteśmy pismem laików. Ale każdy demokrata może być dumny z faktu, że nawet w okresie najostrzejszych konfliktów pomiędzy częścią kleru a obozem postępowym, nigdy w Polsce konflikty te nie przyjmowały zdegenerowanych „rottenburskich" form. Szaleniec z Lubonia spotkał się z jednomyślnym potępieniem całej polskiej opinii demokratycznej. Napady na kaplice organizowane przez czołowych działaczy politycznych pozostaną chyba specjalnością obcego reżymu, do którego rodzimego wydania na gruncie polskim niedwuznacznie wzdycha nasza „katolicka" reakcja i, niestety, pewna część sfaszyzowanego kleru. Właśnie dlatego milczą o nich dyskretnie wszelkie „Małe Dzienniki" i „Rycerze Niepokalanej", tak skore do zamieniania w wieloszpaltowe sensacje każdej bójki weselnej pomiędzy członkami „Wici" lub „Tura" a K. S. M. w jakimś zapadłym kącie dalekiej prowincji.

Książki

Alain Fournier: Mój przyjaciel Metaulnes. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Warszawa 1938.

Dwie są myśli zamknięte w tej powieści Fournier'a, które mogą wzbudzić głębsze refleksje i które nie pozwalają zaliczyć jej do obszernej grupy nieużytków literackich.

Myśli te związane są z naturą ludzką, niespokojną, tęskniącą i nieszczęśliwą zarazem.

Młody Meaulnes wychowanek szkoły w St. Agathe, kierowany nieprzepartą żądzą przygód, którą wyniósł jeszcze z dzieciństwa, podąża w nieznane. Owa potężna tęsknota za przygodą pędzi go w świat spoczątku za czymś nieokreślonym, później w poszukiwaniu swego szczęścia i wreszcie po utracie go w poszukiwaniu zapomnienia.

Coś bolesnego jest w tej postaci tułacza, co każe go zrozumieć, co stwarza zeń niejako symbol człowieka w ogóle... Ta tęsknota bowiem nie jest jedynie cechą natury wyłącznej, awanturniczej, cygańskiej... W mniejszym lub większym stopniu tkwi ona w każdym z nas. Każe szukać, czekać na coś nowego, co ma jeszcze nastąpić... Wiąże się zawsze z nadzieją i jest tą nieokreśloną tęsknotą za czymś nieznanym. Mówi o duszy wiecznie głodnej nowości.

W powieści Fournier'a myśl ta wiąże się i splata z inną, jeszcze bardziej tragiczną, mówiącą o ułomnościach natury ludzkiej. — Oto człowiek o duszy i ciele niezbrukanym szuka szczęścia i piękna tak jak Meaulnes swej Iwonny. Wie, że musi być, że istnieje gdzieś napewno. Dnie się dłużą, a życie ucieka, trzeba brać prę-

dzej to co jest, owego wyznaczonego piękna chyba się nie znajdzie. I kiedy jest już innym, kiedy w życiu jego, podobnie jak w życiu Meaulnesa wplącze się jakaś Walercia, a może i nie jedna, które nie są abstrakcją lecz rzeczywistością... Na drodze staje tamto wymarzone piękno... Zapóźno. Rozpacz i ból targa duszą. I nie wiadomo na kogo się gniewać, na siebie czy na los szydzący. Piękno jest ale już nie może być szczęścia.

Jakiś dziwny żal i smutek osnuwa tę całą powieść, która po zatem ujęta jest fantastycznie i nieżyciowo. Tak nierealnie może, jak owe marzenia i tęsknoty młodości.

Jean Giono: Jan Błękitny. Wydawnictwo „Renaissance". Warszawa 1938.

Fragmenty z życia urywane, niejasne, zatarte..

Spocządku owe z okresu dzieciństwa, w których ze wszystkich zdarzeń zostało tylko to co najbardziej wpłynęło na wyobraźnię, co wcięło się w pamięć, jakiś drobny szczegół, fakt, zdarzenie... Często nie najważniejsze i nie kryjące myśli głównej, dla owego okresu niezrozumiałej.

Dalej powolne kształtowanie się umysłu i pojęć. Obrazy stają się jaśniejsze — przewija się w nich męka okresu dojrzewania i uwidacznia się powolne modelowanie przez wpływy zewnętrzne duchowej strony człowieka.

Jan, mały syn szewca, wchłania w siebie słowa swego ojca rewolucjonisty. Zapadają one głęboko w jego duszę i niezrozumiane odrazu, jednak nie giną.

Tkwią tam obok obrazów wysnutych dziecięcą wyobraźnią dla której nawet pokryta mchem ściana sąsiedniego domu upodabnia się do zielonej tajemniczej damy...

Piękne tony Mozarta i Bacha, wygrane przez nieznanych biednych ludzi o duszy artystów wprowadzają go w światy nowe i piękne. Pierwsza miłość, dziecinna jeszcze ku Annie... Wszystko to rzeźbi swe ślady na duszy chłopca.

I oto kiedy przychodzi czas, że wciśnięty w niebieską liberię musi usługiwać uniżenie bogatym paniom... kłania się tylko ciało. Dusza zostaje niewzruszona i wolna. Nie daje się upokorzyć, poniżyć, jest już na to za późno.

„Już oblicze na murze, Ostateczny i Pani królowa, Anna i dziewczyna piżmowa, wszyscy już jedno za drugim wyciągnęli ją na szerokie piękne łąki".

A z rozwojem ducha i umysł stał się krytycznym. Ostatnie strony powieści tchną nienawiścią i sarkazmem człowieka, który nie chce być niewolnikiem. Bohater, a i powieść staje się dojrzałą. — Pomimo jednak tego wyniku, który nic nie daje właściwie czytelnikowi, trzeba stwierdzić, że całość powieści jest niejasna, poprzetykana niedomówieniami mglistymi symbolami. Jest pisana tym częstym dziś szyfrem, który drażni niemożliwie. Cały czas ma się wrażenie, że autor udaje, iż ma coś b. ważnego do powiedzenia, czego niestety otwarcie nie może powiedzieć a właściwie nie ma nic do ukrywania.

Taka powieść zyskuje tylko w wypadku, gdy jest biograficzną, inaczej trudno nie oświadczyć, że nic by się nie stało gdyby jej wcale nie było. Tak samo nic by jej nie zaszkodziło, gdyby uprzywilejowany niewiadomo dlaczego przez autora kolor — zmieniono i zamiast „Jan Błękitny", dano tytuł „Jan Pomarańczowy".

Fannie Hurst: „Wielki śmiech". Wyd. J. Przeworskiego. Warszawa 1938.

„Co się wznosi — musi opaść" — mówi stuletnia Gregrannie. I gdyby ludzie, których życie podlega tego rodzaju prawom naturalnym, mogli spojrzeć na siebie z perspektywy chociażby jednego tak jak ona wieku, usta ich wykrzywiłby też wielki śmiech. Śmiech nad fatalizmem i małością ludzkości. Każdy z tego licznego panopticum powieściowych typów w ujęciu jednostkowym stałby się mógł bohaterem — Chanuecy — walki o władzę. Cox — walki z przyrodą. Wszyscy byliby więksi, piękniejsi, mieliby oblicza takie, jakie im się wydaje, że mają. Powieść byłaby emocjonująca a wszystko razem... krótkowzroczne. Tymczasem autor ujmuje ich wszystkich jako jednolitą masę typów, tak jakby patrzył na ich życie z lotu ptaka .Snują się, mnożą, umierają, każdy nosi w sobie jakąś tragedię, najważniejszą — bo swoją.

Wydaje mu się, że tworzą coś nowego, a w rzeczywistości są wciąż ci sami... przeważnie miernota, której żyć jest łatwiej, gdy płynie w takiej arce, jaką jest dom Gregrannie. Zjawisko charakterystyczne w powojennej Ameryce. Widzieliśmy to już w „Miłej rodzince". Zamożny dom, w którym przechowuje się także Gregrannie jak relikwje, bo mają w ręku sznurki od sakiewki. W cieniu jej powczepiani jak pijawki siedzą dzieci i dzieci jej dzieci i znów tamtych dzieci i ssą i toczą jak „kosztowne wędzonki". I tak płynie ta arka, pękająca od przepełnienia wśród kataklizmów życia. Hurst zadziwia szerokością światopoglądu, umiejętnością patrzenia z perspektywy, wyobraźnią i trafną analizą psychologiczną. Wszystko to daje razem całość imponującą.

NATALIA WIŚNIEWSKA.

Trygve Gulbranssen: A lasy wiecznie śpiewają. Polskie T-wo Przyjaciół Książki. Warszawa 1938.

Instytut wydawniczy „Renaissance" rzucił ostatnio na rynek szereg powieści pisarzy skandynawskich. W pośpiechu i bez wyboru tłumaczy się byle jak różnych drugo i trzeciorzędnych autorów, wzbogacając w ten sposób naszą literaturę przekładową. „A lasy wiecznie śpiewają" zachęcają tylko tytułem. Napróżno jednak czytelnik będzie szukał jakiegoś związku między treścią i nagłówkiem. Rodzaj literacki powieści wykazuje dalekie pokrewieństwa z typem, jaki reprezentuje twórczość Curwooda. Trudno jednak i w tym wypadku znaleźć wyraźniejsze analogie. Curwood, traper i myśliwy zna dobrze północ. Obrazy jej, uderzające prawdą i bogactwem charakterystyki rozsnuwa często na przykładach ludzi i zwierząt w licznych i świetnych swych impresjach. Gulbranssen daje historię życia kilku pokoleń tego samego rodu, odwiecznego pana dziedzictwa na Björndal. Ginie stary Torgeir Björndal. Zostają jego synowie Dag i Tore. I na tym mogłaby się skończyć.

Autor uśmierca jednak jednego z braci. Drugi żeni się, starzeje i odnawia w swoich synach — znów Dagu i Tore. I tak ciągle da capo al fine. Czytelnik zaczyna się nudzić. Nowe bowiem pokolenia niczem nie różnią się od starych. Wszelkie różnice indywidualne zacierają się w ubogiej, pozbawionej intuicji psychologicznej charakterystyce. Młody Dag jest drugim wydaniem swego ojca. Panna Barre jest powtórzeniem Teresy. Niektóre zaś postaci jak erotyczna stygmatyczka Elżbieta von Gall aż śmieszą swoją sylwetką. Wszyscy są dzielni, smukli, jaśni i piękni. A to już dziś nuży i nudzi. Książka, której zamierzeniem było dać mit o silnej i zdobywczej indywidualności stała się nieciekawa, a w dodatku fatalnie przetłumaczoną bajką.

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI.

Dachau, miasto grozy

Georges Oudard pomieścił w „Paris-Soir" wstrząsający opis życia w Dachau, przełożony następnie i wydrukowany w lwowskiej „Chwili Wieczornej" dn. 8 sierpnia r. b. Przytaczamy ten wstrząsający reportaż bez zmian, jako jeszcze jeden dokument epoki i jednocześnie jako świadectwo osiągnięć „nowej kultury", która w swym tryumfalnym i opatrznościowym pochodzie, tworzyć musi z zapałem, coraz więcej kaźni. Zażywają już one tej samej ponurej sławy, co wszystkie inne katownie historyczne, które jako złudne podpory panowania despotii zczezły wraz z nimi bez śladu. Na miejscu murów, fos i zasieków każdej Bastylii wyrasta z czasem obelisk wolności, a co roku w narodowe święto tryumfu nad tyranią bije w niebiosa radosny hymn wyzwolenia.

„EPOKA"

„Nie ma słowa, które budziłoby dziś w Austrii więcej grozy niż słowo Dachau. Patrioci wymawiają je tylko szeptem, choć czyta się je wypisane wszystkimi literami w gazetach, a nawet na murach.

Funkcjonariusze Gestapo, mający polecenie złupienia ze wszystkiego bogatych Austriaków, winnych nie-aryjskości czy legitymizmu, lub oskarżonych o dawną przynależność do Heimwehry czy do Frontu Ojczyźnianego, uprzedzają ich zawsze, że jeśli nie dadzą ograbić się dobrowolnie, zostaną bezzwłocznie wysłani do obozu koncentracyjnego w Dachau.

Wśród licznych nienawistnych napisów, smarowanych co jakiś czas przez nazich na wystawach żydowskich sklepów w drugim obwodzie Wiednia, powraca często to kategoryczne zaproszenie do okropnej podróży:

„Juden, auf nach Dachau!"

Informując się u wtajemniczonych co się stało z osobistościami dawniej pierwszoplanowymi i z najbliższymi współpracownikami p. Schuschnigga, otrzymuje się o każdym tę samą, niezmienną odpowiedź: „Jest w Dachau".

Więźniowie

W Dachau zamknięci są: były burmistrz Wiednia p. Schmitz; dyrektor polityczny Urzędu Kanclerskiego min. Hornbostel; komisarz propagandy pułk. Adam; min. Ludwig; dwaj synowie, których miał z swego morganatycznego małżeństwa arcyksiążę następca tronu Franciszek Ferdynand, zamordowany w Serajewie; wódz oddziałów bojowych Frontu Ojczyźnianego kpt. Alexander i cała masa innych, a wśród nich przypuszczalnie i b. sekretarz stanu i dyrektor policji Skubl i b. poseł Austrii w Paryżu, nie mówiąc o poważnym kontyngencie podejrzanych nazich austriackich. Żadna z osobistości wyżej cytowanych nie została stracona, jak niesłusznie przypuszczano za granicą, ponieważ wszystkie przesyłają nadal dość regularnie wiadomości o sobie swym rodzinom.

Konzentrationslager Dachau, czyli — wedle nazwy urzędowej — 3 K, położony jest pośród nieuprawnych, bagnistych terenów, przez które przepływa mała rzeczka Amper, o trzy, cztery kilometry od bawarskiej wioski Dachau, odległej o 18 kilometrów od Monachium.

Krematorium i cmentarz

Przyjeżdżając z Monachium autem, objeżdża się wieś i przejechawszy pod dwoma wiaduktami kolejowymi i przez jeden most, wjeżdża się na jedyną drogę, wiodącą do obozu. Na skrajach jej ustawione są gęsto tablice z wielkimi napisami:

Konzentrationslager Dachau 3 K
Niebezpieczeństwo śmierci
Strzela się bez ostrzeżenia

Konzentrationslager Dachau 3 K mieści się w zabudowaniach olbrzymiej fabryki amunicji, która w roku 1918 została zamknięta. Tor, który łączy ją z stacją kolejową Dachau został zbudowany podczas wojny. W r. 1933 zostały te opuszczone budynki przebudowane na więzienie, przeznaczone dla wrogów reżimu i mogące pomieścić siedem tysięcy osób. W roku ubiegłym zostało ono znacznie zwiększone. Blisko dwadzieścia tysięcy ludzi łącznie z personelem strażniczym i biurowym żyje w jego murach. Znaczna cześć więźniów stanowią ex-Austriacy, zmuszeni do ciężkich robót, za wyjątkiem jednego czy dwóch starszych inteligentów, zatrudnionych w kancelarii komendy.

Dwa obozy koncentracyjne, a mianowicie Oranienburg, osławiony jako najgorszy i Lichterfelde, zainstalowany w dawnej szkole kadeckiej i przeznaczony dla wysokich więźniów nazistowskich i komunistycznych, oraz więzienie w Moabicie, w którym zamyka się również wrogów reżimu, stanowią filie obozu Dachau 3 K i są mu podległe.

Naczelnikiem całej tej organizacji jest S.S.-Oberführer Eicke, rezydujący w Dachau. Ten oficer sztabowy Schwarzes Korps, który aż do nastania reżimu nazistowskiego żył stale w Lugano, gdzie tajnie utworzył grupę z czterystu swych towarzyszy, posiada zupełne zaufanie Führera i p. Himmlera.

Konzentrationslager Dachau 3 K, ze swymi kasarniami, biurami, kooperatywami spożywczymi i bazarami, sprzedającymi bardzo drogo nieprawdopodobnie liche towary, przybrał stopniowo wygląd małego miasta, którego środek zajęty jest przez niskie domy, t. zw. bloki, zamieszkałe przez więźniów. Czyste ulice, przecinające się pod kątem prostym, oddzielają poszczególne kwadraty od siebie. Na niektórych rogach wznoszą się pomniki ku czci któregoś z bohaterów narodowych, obarczonego zbrodniami, jak np. Schlagetera, który zamordował szereg francuskich żołnierzy w Ruhrze. Na jednym z placów zasadzony został dąb ku czci Adolfa Hitlera.

Obóz posiada ponadto dworzec i radiową stację nadawczą, krematorium i cmentarz liczący kilkaset grobów. Deszczułka bez nazwiska, zawierająca tylko numer, oznacza zmarłego, spoczywającego w tym miejscu.

Za potrójnym murem

Wysoki mur, na którym rozpięty jest potrójny drut, naładowany elektrycznością, tworzy pierwszy wał obozu, za którym ciągnie się w pewnej odległości drugi rząd zasieków, również z potrójnego drutu naelektryzowanego. Tu dopiero żyją więźniowie. Od strony Monachium mur nie posiada żadnej specjalnej ochrony. W jego przedpolu przechodzą tylko co kwadrans patrole z dwunastu ludzi, odbywając pod wodzą podoficerów, stale tę samą drogę. Z przeciwnej strony, to jest od strony moczarów, wznoszą się co kilkaset metrów małe wieżyczki, połączone również drutem naelektryzowanym i uzbrojone w karabiny maszynowe i reflektory, których snopy świetlne, zamiatające pola, widoczne są już z znacznej odległości.

Skoro tylko spostrzeże się ucieczkę jakiegoś więźnia, syrena obozu zaczyna ryczeć, a jednocześnie rozlega się sygnał automatyczny w siedzibie Gestapo w Monachium, dzięki elektrycznej instalacji, łączącej podziemnie Dachau 3 K z Pałacem Wittelsbachów. Natychmiast zaalarmowana zostaje policja polowa i ulice stolicy bawarskiej, najbliższe drogi Dachau-Monachium, zostają z miejsca zamknięte. Nie podobna więc uciec, chyba, że posiada się wspólników wewnątrz obozu i poza nim. Otóż bardzo trudno jest przekupić strażników. Najlepiej jest urządzić się tak, by sygnał alarmowy dany był jak najpóźniej, wówczas dopiero, kiedy uciekinier znalazł się już w bezpiecznym ukryciu.

Więźniów budzi się o godzinie piątej. Otrzymują kawę i kawałek czarnego chleba. Co trzy dni rozdaje im się kilka gramów margaryny. Następnie udają się do pracy, śpiewając hymny nazistowskie. Śpiewanie jest obowiązkowe! Oba posiłki dzienne, z następującymi po nich dwugodzinnymi pauzami, odbywają się od godziny dwunastej do drugiej i od siódmej do dziewiątej i muszą być spożywane w absolutnym milczeniu, by nie uronić ani słowa z przemów politycznych, przetykanych patriotycznymi pieśniami, które bez przerwy leją się z głośników.

Więźniowie pracują albo przy robotach budowlanych i drenowaniu moczarów, albo w warsztatach wyrabiających mundury i różne części ekwipunku czarnej milicji, której Dachau służy również jako strzelnica i obóz ćwiczebny. Wszelkie opóźnienie lub omyłki w robocie karze się karami cielesnymi. Więźniów bije się już to kijami, już to kolbami karabinów. Nie podobna już zliczyć w Dachau szczęk, złamanych tym drugim sposobem. Istnieje specjalna kompania egzekucyjna. Żydów poniewiera się z największą dzikością. Kary, jakim ich poddaje, wymyślone zostały przez niejakiego p. Loritza, znakomitego rzeczoznawcy w tej dziedzinie, wyposażonego w piękną wyobraźnię sadystyczną.

Więźniowie bez zasądzenia

Osobistościom austriackim, zesłanym do Dachau, ścięto naprzód włosy, tak jak wszystkim innym, a następnie ubrano je w grube, szare mundury, naznaczone na plecach trzema prostopadłymi, czerwonymi pasami. Po ukończeniu tych operacyj uszeregowano nowych więźniów na placu przed komendanturą, gdzie musieli stać na baczność przez długie godziny, aż do zupełnego wyczerpania. Następnie otrzeźwiono ich natryskiem wody z sikawki i zaprowadzono każdego oddzielnie do tak zwanego Stehbunker. Są to małe piwniczki, tak wąskie, że niepodobna w nich ani ruszyć się, ani usiąść. Tam zamknięci byli ci nieszczęśliwcy ponad trzy dni w zupełnej ciemności i prawie bez jedzenia. Dopiero po tym okrutnym wstępie dopuszczeni zostali do wspólnoty więziennej i przydzieleni do poszczególnych bloków, składających się z zamkniętych cel.

Ludzie zamknięci w Dachau 3 K nie zostali skazani żadnym prawomocnym wyrokiem, czy to umotywowanym, czy nie umotywowanym jawnym lub tajnym. Są to w gruncie rzeczy zwyczajni aresztanci, zamknięci przez władze administracyjne, którzy będą przebywali tu, prawie wszyscy, do końca życia, choć nigdy nie stawali przed żadnym sądem. Przeważnie nie wiedzą w ogóle, jaką zbrodnię im się zarzuca i czy uwięzienie ich będzie krótkie, długie, czy dożywotnie. Nieświadomość ich przyszłego losu stanowi najgorszą mękę.

Pewien człowiek, który uciekł z tego piekła, zwierzył mi się:

— Czasem wychodzi się z Dachau, jeśli się tam zostało zesłanym za jakieś drobne przewinienie. Ale zawsze się tam powraca, a wtedy — już na całe życie. Jeśli nie uda mi się przedostać się przez granicę, zabiję się. Wolę śmierć od ryzyka, że mnie znów schwytają i odstawią tam napowrót.

Mówił poważnie, ale spokojnie. Skoro zdziwiłem się, że nie wyrzekł ani jednego słowa nienawiści wobec swych katów, odpowiedział:

— Nienawiść także ginie w Dachau. Pozostaje jedynie wstyd, że się jest człowiekiem".

Urok słów i proza czynów

Obietnice

6 sierpnia 1936

„Włochy przyłączają się, w zasadzie do koncepcji nieinterwencji w wojnie domowej, trwającej w Hiszpanii"

(oświadczenie urzędowe rządu włoskiego)

21 sierpnia 1936

„Włochy zobowiązują się zakazać eksportu pośredniego lub bezpośredniego, reeksportu lub tranzytu broni, amunicji lub materiałów wojennych, przeznaczonych do Hiszpanii, do kolonii hiszpańskich lub do protektoratu hiszpańskiego w Maroko".

(umowa międzynarodowa)

10 października 1936

„Włochy jaknajskrupulatniej przestrzegają swych zobowiązań"

amb. Grandi w Londynie.

14 maja 1937

„Oświadczamy i potwierdzamy uroczyście, że, o ile idzie o nas, przestrzegamy zobowiązań, jakie zaciągnęliśmy, z faszystowską lojalnością i skrupulatnością"

hr. Ciano w Rzymie.

2 lipca 1937

„Strona włosko-niemiecka zrobiła wszystko, co było w jej mocy, dla izolowania pożaru hiszpańskiego".

Mussolini w „Popolo d'Italia".

Fakty

Tymczasem:

1) jak przyznała ostatnio prasa włoska, od pierwszej chwili rebelii lotnictwo włoskie interweniowało w wojnie domowej hiszpańskiej. To włoskie samoloty przewiozły oddziały Maurów i złożone w znacznej części z pospolitych kryminalistów i innych szumowin oddziały „Legii Cudzoziemskiej" hiszpańskiej na półwysep pirenejski.

2) w sierpniu 1936 r. wojska włoskie, pod dowództwem hr. Rossi obsadziły Majorkę.

3) w zimie r. 1936/7 interwencja włosko - niemiecka przybiera formę regularnych korpusów ekspedycyjnych. 28 stycznia 1937 udaje się do Hiszpanii generał dowodzący korpusem armii włoskiej w Udine, Caracciola. W marcu 1937 r. korpus ekspedycyjny włosko-niemiecki liczy już ponad 80 tysięcy ludzi.

4) w kwietniu i maju 1937 włoskie jednostki wojskowe — m. in. słynny korpus „Czarnych Strzał"—atakują kraj Basków. Samoloty niemieckie palą święte miasto Basków, Guernicę.

5) odtąd trwa nieprzerwanie, stała, coraz to wyraźniejsza i bezczelniejsza interwencja włosko-niemiecka w Hiszpanii. Terytorium gen. Franco przestaje być ziemią hiszpańską, staje się kondominium włosko-niemieckim, w którym generałowie rebelii odgrywają rolę mocno podobną do roli.. „cesarza" Pu-Yi w Mandżu-Kuo.

Wyznania

„Walczymy w Hiszpanii, która jest w chwili obecnej najbardziej żywym odcinkiem wojny, która trwa już od 15 lat... Walczymy i zwyciężymy w Hiszpanii, jak walczyliśmy i zwyciężaliśmy na wszystkich frontach, na które wezwał nas Duce... Złudzenia są bezpożyteczne; niema możliwości kompromisu".

„Roma Fascista" 2 grudnia 1936.

„Jestem pewny, że napór i wytrwałość naszych legionistów złamie opór wroga. Rozbić brygady międzynarodowe, to znaczny sukces militarny i polityczny. Powiedźcie legionistom, że śledzę, z godziny na godzinę, przebieg ich akcji, która będzie ukoronowana zwycięstwem".

Mussolini, telegram do komendy włoskiej pod Guadalajara.

„W tej wielkiej walce, która przeciwstawiła sobie dwa typy cywilizacji i dwie zasadnicze koncepcje światopoglądowe Włochy faszystowskie nie były neutralne; walczyły one i zwycięstwo będzie należało do nich".

Mussolini w „Popolo d'Italia", 27 czerwca 1937.

„Trzeba nam rządu nacjonalistycznego w Hiszpanii, abyśmy mogli otrzymywać rudy żelazne hiszpańskie"

Hitler w Würzburgu, 27 czerwca 1937

„Jestem szczęśliwy, że oddziały legionistów włoskich przyczyniły się w znacznym stopniu, podczas dziesięciu dni ciężkiej bitwy do wspaniałego zwycięstwa w Santander i że udział ich znalazł pełne uznanie, wyrażone w Pańskim telegramie. To ścisłe braterstwo broni jest gwarancją ostatecznego zwycięstwa, które uwolni Hiszpanię i całe Morze Śródziemne od wszelkiego niebezpieczeństwa, grożącego naszej wspólnej cywilizacji".

Mussolini do gen. Franco, 27 sierpnia 1937.

Czesi

W chwili, kiedy do Pragi zjechał angielski obserwator lord Runciman dla poznania stosunków w Czechosłowacji, nie od rzeczy będzie zapoznać się z opinią o Czechach innego cudzoziemca, przygodnego i dobrowolnego obserwatora.

W tej myśli przytaczamy poniżej w wiernym streszczeniu artykuł, który się ukazał w jednym z ostatnich zeszytów czasopisma „Das Neue Tagebuch", pióra p. Willi Schlamma, a zawierający wiele oryginalnych i ciekawych spostrzeżeń.

Epoka.

Zblazowanemu światu dali niezrównane, prawdziwie wzruszające widowisko: pokazali, jak mały naród potrafi być ludzkim, rozsądnym i dzielnym w „czasach pogardy".

Od pięciu lat mieszkam w Pradze. Widok zamku praskiego stał się dla cudzoziemca pokarmem codziennym i zawsze tak samo smakuje, jak za pierwszym razem. Powoli nauczyłem się rozumieć czeskiego człowieka.

Między Europą a jednym z jej najmilszych narodów stoi mur języka, trudnego do zgryzienia. Gdyby nie to, kontynent nie potrzebowałby aż lekcji ostatnich tygodni, żeby Czechów szanować i lubić. Cechuje ich zupełny brak zdolności do samoreklamy. Nie wynika to z jakiegoś wielkopańskiego wstrętu arystokraty do hałaśliwości jarmarcznej, w żadnym razie nie są Czesi narodem arystokratów, lecz jedynie narodem „małych ludzi". Gdy się samemu nie jest czułym na propagandę i na jej zdolności kształtowania pojęć i poglądów, nie można jej instynktownie i skutecznie uprawiać. Dlatego też propaganda Czechów jest mało skuteczna. Narody sądzą według siebie i według swojego sposobu reagowania; dlatego na całym świecie paruje niemiec-

ka propaganda, dlatego też Czechom nie przychodzi wogóle na myśl, żeby zdrowemu na umyśle człowiekowi można było cokolwiek wmówić.

Korespondenci zagraniczni, którzy zjechali się z dawnych placów boju na spodziewany plac nowy, zdumieli się, widząc niezwykle spokojne zachowanie się Czechów w krytycznych dniach ich państwowości. Cały świat dowiedział się już, że Czesi — naród cywilów — przeprowadzili zarządzenia wojskowe z godną podziwu ścisłością; że wszystko „działało" u nich z największą dokładnością; że obronność ich rosła wraz z oporem przeciwko najazdowi; że działania wojskowe nie przeszkodziły im przy wyborach głosować rozsądnie, z godnością, i według wszelkich wymagań demokracji; że w ciągu pół nocy zostali zmobilizowani i odkomenderowani do obrony granic. W najmniejszym stopniu nie ucierpiały ich prawa osobiste, ani swobody obywatelskie: Z całą prostodusznością naród zaufał rządowi, a rząd narodowi, bez jakiejkolwiek presji z góry, lub nawet jej pozorów. W tych dniach osobliwych, w maju 1938 r. Czesi przezwyciężyli znakomicie w całym kraju wszelkie objawy szowinizmu i antysemityzmu. Te wszystkie wiadomości podali już reporterzy, mogę więc się nie powtarzać. Natomiast spróbuję naszkicować osobowość tego narodu, na który Europa zwróciła uwagę dopiero przy tej sposobności.

Należy ostrożnie mówić o osobowości narodu, gdyż chodzi tu o kategorie duchowe. Ale przy całej mojej niechęci do uogólnień muszę stwierdzić, że tak samo jak Francuzi, naród czeski ma swoje własne, wyraziste oblicze.

Każdy z narodów słowiańskich stworzył swój własny styl. Możnaby zaryzykować porównanie, nawet jeżeli grzeszy ono powierzchownością: Otóż Rosjanie są Niemcami świata słowiańskiego; mają oni tę szczególną skłonność do dogmatycznej metafizyki i jednocześnie skłonność do naiwnego przeceniania techniki, którą nazywamy „amerykanizmem". Polacy są Francuzami świata słowiańskiego: błyskotliwi, zdolni, nerwowi, ruchliwi. Czesi zaś są Anglikami wśród Słowian. Spróbuję uzasadnić moją tezę.

Wielki Czech, a jednocześnie jeden z największych Europejczyków naszych czasów, Masaryk, ukuł maksymę polityczną dla młodego państwa czechosłowackiego: „Zdenerwowanie nie jest programem". (Aufregung ist kein Programm). To zdanie, mądre i proste, jak jego twórca, pozwala zrozumieć czeskie metody postępowania. W tym względzie Czesi są podobni do Anglików.

Z pośród narodów kontynentu europejskiego Czesi najmniej ulegają histerii. Ich młode państwo z pewnością nie jest rajem i jak wszędzie wiele jest tam nędzy, nie brak niesprawiedliwości i powodów do żalów. Ale Czesi zachowują się wobec swego losu, jak dorośli. To znaczy: są oni tym, co nazywa się we współczesnej psychologii „życiowo przystosowani". Nawet gdyby nie znali hasła Masaryka, że podniecenie nie jest programem, przeciętny Czech rządzi się tym właśnie przeświadczeniem. Grunt polityczny i społeczny jest tak samo, jak gdzieindziej, podminowany, ale mniej dokonano zabójstw politycznych w przeciągu dziewiętnastu lat istnienia republiki, niż gdziekolwiek indziej. Sromotnie ośmieszyłby się każdy, kto Czechom próbowałby zalecać jakiegoś niedowarzonego i krzykliwego „fuehrera". Oni są na to zbyt dojrzali i uobywateleni.

Jak już powiedziałem, Czesi są narodem zrównoważonym. Kryzys lat ostatnich tak samo nimi wstrząsnął, jak innymi narodami na kuli ziemskiej. Ale dla innych był to powód do histerii. Dla Czechów? Mają oni swe troski, wiele z nich głoduje, wszyscy wiedzą, że państwo jest w niebezpieczeństwie. Ale to wszystko nie wytrąca ich z równowagi, ustosunkowują się do rzeczywistości jak przystało na ludzi dojrzałych. Narwane snoby naszego stulecia uważają Czechów za „rybi naród", bez „uroku", gdyż Czesi nie improwizują i nie są patetyczni.

W przełomowych dniach maja 1938 — w przeciwieństwie do Niemiec, gdzie rozpętała się prawdziwa noc Walpurgii, Czesi nie dali się uwieść mętnym czy metafizycznym hasłom, lecz głosowali na „partię gospodarczą", która walczyła o realne korzyści podatkowe dla drobnomieszczaństwa. Wzrost głosów tej partii był jedyną sensacją wyborów, doskonale charakteryzującą mentalność ludności czeskiej. Nie przeczę, że jako cudzoziemiec, polubiłem ten naród i dlatego, być może, pomimo mego dążenia do obiektywizmu, nie doceniam jego wad. Lubię ich za ich zrównoważone zachowanie, za ich rozsądny, mało nerwowy sposób reagowania, co w pewnej mierze może nie być korzystne dla ich działalności artystycznej, gdyż artystycznie typ taki ma z pewnością mniej uroku, niż bardziej pobudliwy. W tym względzie z narodami jest nie inaczej, niż z jednostkami. I być może nie jest rzeczą przypadku, że w naszym stuleciu największą twórczą indywidualnością wśród Czechów nie był poeta, lecz Masaryk, mąż stanu i wychowawca narodu. Świadczyłoby to, że siła twórcza narodu czeskiego znalazła swój wyraz nie w dziedzinie artystycznej, ale w realnym pokonywaniu trudności życiowych.

Wszakże nie daje to powodu do twierdzenia, że Czesi nie mają bogatego i zróżnicowanego życia literackiego. Przeciwnie, posiadają je w wysokim stopniu i traktują je bardzo poważnie. Dalecy od przesadnego szowinizmu, swoją bezprzykładną ilością przekładów utrzymują stały kontakt z twórczością całego świata. Nie wiele jest książek wartościowych w nowoczesnej literaturze światowej, które nie byłyby tłumaczone na język czeski, chociaż nie jest to rzeczą zyskowną i nęcącą tłumaczyć na język narodu, wynoszącego pod względem liczebnym nie wiele więcej, niż ludność jednego Londynu. Literatura autochtonów czeskich nie obawia się współzawodnictwa literatury światowej, zaś krytyka literacka Czechów jest ścisła, ostra i bezwzględna.

Literatura czeska poszczycić się może wielkimi i dojrzałymi talentami. Czesi z pewnością wysunęliby się na czoło międzynarodowych rozważań literackich, gdyby pisali w jednym z trzech języków światowych. Ale ten ich handicap, czeski język ojczysty, jest tą substancją bez której ich działalność literacka byłaby bez znaczenia. Język czeski jest właśnie tym właściwym wyrazem ich swoistego rytmu życiowego. Ten mały naród nie lubi ekstazy; jest sceptyczny bez pesymizmu i taki jest ich język. A powstaje to w związku z całą historią narodu. Są optymistami, gdyż wyzwolili się z jarzma po

upływie trzechset lat, są jednocześnie sceptykami i nie dają sobie imponować, gdyż w latach ucisku przekonali się, jak mali i głupi, a także w gruncie rzeczy śmieszni są ci „wielcy" ciemiężcy. Są oni przeświadczeni, że oprócz szczytów i przepaści, są okolice nieraz daleko ważniejsze, gdzie można żyć po ludzku i z godnością, jako ludzie dojrzali i jako obywatele.

Nie dać się nastraszyć i nie dać się ogłupić, oto jest źródło czeskiego humoru. Według mnie „Szwejk" jest jednym z najszczęśliwszych utworów nietylko czeskiej, ale europejskiej literatury. Ten „dzielny żołnierz Szwejk", który nie przejmuje się ani wojną, ani sądem, ani nawet końcem świata, — poprostu dlatego, że nie ma on żadnego zmysłu dla fałszywego patosu — jest szczęśliwym wydarzeniem w literaturze i w życiu. Echo ludzkiej mądrości Rabelais'go i Swift'a bije z tej książki, śmiechem natrząsa się z głupoty i hańby całego świata. Zaś wszystkie inne rzeczy, małe i przypadkowe, a nieraz i brudne, są znikome i przejściowe. Teraz Czesi będą się także bić — ten naród cywilów — odkąd wiedzą za co bić się trzeba. Kto o tym wątpił, miał sposobność się przekonać dnia 20 maja 1938 r. Ale Czesi są i pozostaną narodem cywilów: zdrowi, bez patosu, nie znoszący histerii, gdyż kochają życie.

Za dużo mówiłem o literaturze? Ale jest to rzecz nieunikniona, skoro słowami trzeba chwytać na gorąco — płynne wycinki życia. Wtedy szuka się świadków, książek i ludzi, nie koniecznie pisarzy. Kto szuka żywych świadków wartości i ludzkiej przyzwoitości tego narodu, znajdzie ich na ulicach miast tego kraju. Niewzruszenie trwa i codziennie objawia się dobroczynny charakter tego narodu. Wolność dobrze się czuje w tym kraju, tutaj jest ona u siebie i tutaj będzie broniona.

WILLI SCHLAMM.

Dobre i złe partie

Pan Z. S. — endo-sanator i czołowy ideolog „Gazety Polskiej" — przemówił w te słowa: „partyjnictwo, nie dlatego jest złe, że organizuje społeczeństwo pod hasłami partyjnymi, ale dlatego, że organizuje je pod hasłami złymi i przestarzałymi".

Co, przełożone na prosty język polski, znaczy: jeżeli demokracja organizuje się w stronnictwa na podstawie istotnych różnic ideowo-politycznych, odpowiadających rzeczywistym różnicom w opinii społecznej — wtedy jest bardzo źle, bo to jest partyjnictwo. Gdy jednak totalistyczna „elita" tworzy partię, której program sprzeciwia się dążeniom olbrzymiej większości narodu — wtedy jest bardzo dobrze, i to nie jest partyjnictwo. Stronnictwa, reprezentujące rzeczywiste prądy społeczno-polityczne w kraju i liczące miliony zwolenników, którzy w codziennej, mężnej walce dowiedli swej wierności dla „partyjnych" sztandarów — takie stronnictwa organizują obywateli „pod hasłami złymi i przestarzałymi". Ale osamotniona w społeczeństwie, przegrana i zgorzkniała, trawiona wewnętrznymi kłótniami, szamocząca się bezradnie w impasie antydemokratyczna „elita" totalizatorów reprezentuje hasła „nowe" i zgodne z potrzebami narodu! Oto próbka logiki obozu, przeciw któremu wypowiedziała się logika rzeczywistości...

Oczywiście te „nowe" w Polsce (bo importowane z nad Szprewy i Tybru) hasła naszego obozu antydemokratycznego, naszej partii totalistycznej (jednej z kilku!) są dziś jeszcze mniej nowe, niż przed laty, kiedy po raz pierwszy znalazły zastosowanie. Wtedy, w owych latach pierwszego upojenia, z rozmachem „demaskowano" i miażdżono znienawidzone partyjnictwo. „Okres rządów sprzed r. 1926 — pisze naczelny organ Str. Ludowego — przedstawiono jako czasy rozpanoszonego partyjnictwa i sejmowładztwa, w których warcholstwo miało chadzać na wyścigi z nadużywaniem i kradzieżą grosza publicznego, karierowiczostwo z protekcjonizmem, rozbicie i zwaśnienie w parze z najgorszego rodzaju demagogią. Temu okresowi, obciążonemu rzekomo tak wielkimi grzechami, miały być przeciwstawione cnoty czasów sanacji moralnej; szkodliwemu partyjnictwu — radosna twórczość". A jak jest dziś — po tylu latach? „Część społeczeństwa czująca i myśląca a nieprzesiąknięta moralnymi wpływami sanacji (tzn. przygniatająca większość narodu — przyp. nasz) znając metody licznych poczynań sanacyjnych, śledząc sprawozdania z licznych procesów niedawnych jeszcze filarów sanacji moralnej — porównanie to już sama przeprowadziła i wysnuła z niego odpowiednie wnioski".

Te wnioski są dobrze znane ludziom, którzy postanowili za wszelką cenę pozostać, choć dawno już czas im odejść. Ci ludzie, którzy już wszystko, co mieli do powiedzenia (a było tego bardzo nie wiele!) powiedzieli społeczeństwu, przemawiają nadal i coraz głośniej — choć „szary" obywatel uszy już zatyka. Ci ludzie silą się dziś na wyszukanie nowego języka, skoro tamtego „bezpartyjnego" nikt już nie słucha — nikt mu nie wierzy. Stąd ta polityczna wieża Babel w obozie antydemokratycznym, stąd ten sanacyjny rozgardiasz językowy — widowisko, które ma już zapewnioną kartę w dziejach Polski. Ale w tym zgiełku i hałasie kłócących się grup i grupek reakcyjnych rozbrzmiewa donośnie jedna, wspólna im wszystkim nuta: precz z demokracją! brońmy dzisiejszego stanu posiadania!

Ta dewiza jest wspólna. Łączy wszystkich jednym, wspólnym interesem, który zresztą nosi różne etykietki-opakowania, zależnie od tego, jaki kramik obszernego bazaru sanacyjnego wystawia go na sprzedaż.

Ale jak to wspólne dobro ratować? Tu drogi rozchodzą się. Zdawało się do niedawna, że zarzucono „przestarzałą" metodę tworzenia „bezpartyjnej" partii, złożonej z nasadzonych przez biurokrację, wytresowanych poganiaczy apolitycznej trzody „szarych" obywateli, którzy z orkiestrą na czele maszerowali do urny wyborczej, by w szale entuzjazmu głosować jawnie na wyznaczonych z góry „kandydatów". Przystąpiono do organizowania partii wyraźnie politycznej, z otwarcie partyjną ideologią totalistyczną, z klubem parlamentarnym, z organizacją młodzieży itd. Taka partia jest przecież dobra, nie narażona na zarzut „partyjnictwa", bo nie organizuje społeczeństwa „pod hasłami złymi i przestarzałymi" — jak zapewnia pan Z. S. Aliści coś się popsuło. Ozon nie chwycił w terenie — i wewnątrz samego obozu zamiast konsolidacji przyniósł pogłębienie dekompozycji. I w tym momencie wystąpił znów na scenę płk. Sławek w asyście starych przyjaciół; zamajaczyło za sceną stare widmo BBWR. Dekompozycja pogłębiła się jeszcze bardziej. Ozon z jednej strony — elita płk. Sławka z drugiej, odpryski wirujące dokoła jednego lub drugiego bieguna, „narodowi piłsudczycy", konserwa i naprawa, Z. M. P. i „Siew", ONR i Akcja Narodowo - Państwowa: oto obraz antydemokratycznej konsolidacji, która ma wyprowadzić „nas" z impasu!

Jeżeli więc naczelny organ Ozonu piórem pana Z. S. dowodzi, że partie demokratyczne są złe, ale partia totalistyczna bardzo dobra, to „dowód" ten ma służyć nie tylko przekonaniu społeczeństwa (w co ozonowy publicysta sam nie wierzy), ale obronie racji bytu OZN wobec przeciwników wewnątrz sanacji, obronie przed atakami i podkopami ze strony ekipy nowego marszałka Sejmu. Zaszachowana przez „sławkizm" elita ozonowa dowodzi, że jej metoda organizowania partii totalistycznej jest skuteczniejsza w walce z demokracją, niż wypróbowana bezpartyjna metoda płk. Sławka i jego adherentów.

Ale naród stoi poza tymi sporami. Naród stoi poza wszystkimi grupami antydemokratycznymi. Naród stoi pod sztandarem demokracji. W niej widzi wyjście z impasu. W niej widzi przyszłość kraju i dobro jego obywateli.

Z. NAŁĘCZ.

Trudna „problematyka zjednoczenia"

„Czas" ubolewa, że nie doszło do szerokiej konsolidacji obozu antydemokratycznego, do pojednania między „narodowcami" opozycyjnymi a „narodowcami" rządowymi. Tylko takie bojowe porozumienie mogłoby przecież stworzyć — marzy organ konserwy — mocną tamę przeciw wznoszącej się coraz wyżej fali demokratycznej. Tymczasem na przeszkodzie „narodowej" konsolidacji stoją względy klikowo-osobiste, konkurencyjne. Te mało szlachetne, zgoła nie ideowe względy utrzymują zgubny podział między sanacją a endecją, między różnymi grupami totalizatorów w bozie rządzącym, między oenerami a Str. Narodowym, między ONR „Falangą" a ONR z pod znaku ABC — itd. „Czas" robi starej endecji wyrzuty, że i sama nie chce pójść na kompromis z sanacją i co gorsza, wyklina wszelkie „radykalne" i „dynamiczne" odpryski endeckie, garnące się do żłobu, jako renegatów i sprzedawczyków!

Organ konserwy tłumaczy endecji, że pojednanie z sanacją jest najpilniejszym nakazem chwili, że właśnie zasługą oenerów jest ich ciążenie do obozu rządowego. Nawiasem mówiąc, dlaczego „Czas" zalicza ONR do „opozycji" — to pozostanie jego tajemnicą. Nikt w Polsce nie ma wątpliwości, że oenery są swego rodzaju nieregularnymi, oddziałami posiłkowymi elity, przeznaczonymi do realizowania takich zadań bojowych, których mało „dynamiczna" i niezakotwiczona w masach młodzieży sanacja nie mogłaby tak sprawnie wykonywać. Natomiast poniekąd słusznie stwierdza „Czas", że nie można „przeceniać masowości Stronnictwa Narodowego bez dynamiki, ani dynamiki byłego ONR-u bez masowości ruchu".

Doprowadźmy do końca myśl konserwatywnego dziennika. Str. Narodowe = masowość. ONR = „dynamizm". Sanacja = władza. Suma: masowość + „dynamizm" + władza. Toby dopiero była potęga przeciw demokratyczna, jak się patrzy! Takiej „narodowej" partii totalistycznej trzeba naszym feodałom! Odrazu wyszlibyśmy z impasu na szeroką, wyasfaltowaną drogę pełnego totalizmu.

Tylko w tym „narodowym" rachunku naszej konserwy nie uwzględniono potężniejącej i konsolidującej się z dnia na dzień siły demokracji, która prowadzi ze sobą olbrzymią większość narodu. Nie uwzględniono prawdziwego dynamizmu wielkich, masowych ruchów ludowych. A koniec końców one zadecydują przecież o przyszłości Polski. Zadecydują zgodnie z Jej interesem.

Do Przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

Od Wydawnictwa

PROSIMY O NADESŁANIE PRZEDPŁATY ZA KWARTAŁ III

KSIĄŻKI NADESŁANE

Kazimierz Mróz: Stanisławice, wieś pow. kozienickiego. Krótki zarys historyczny. Zwoleń 1938 r. Odbitka z miesięcznika „Głos Młodej Wsi" w Zwoleniu.

Wydawnictwa Towarzystwa „Rój":

W. K. Arseniew: Dersu Urała. Warszawa, 1938.

Jerzy Andrzejewski: Ład serca. Warszawa, 1938.

Helena Boguszewska: Anielcia i życie. Warszawa, 1938.

Ułas Soniczuk: Wołyń. Warszawa 1938.

Elżbieta Szemplińska: Potrójny ślad. Warszawa, 1938.

James Morier: Przygody Chadzi Baby. Warszawa, 1938.

Konneth Roberts: Demon leśnego batalionu. Warszawa, 1938.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Niwarskiemu w Łodzi: Rzecz napisana dobrze, ale z tym zgrywającym się politykiem poważnej polemiki prowadzić nie można.

Panu B. S. w Stoczku: Artykuł Pana już był złożony, ale z pewnych względów nie mógł się ukazać w druku.

Pani M. R. w Krakowie: Przekazaliśmy autorowi recenzji, który już osobiście Pani odpowie.

Pani J. K. w Radomiu: Listów podpisanych nieczytelnie i bez bliższego adresu drukować nie możemy.

Pani M. S. w Łucku: Nie nadaje się do „Epoki", radzimy przesłać do pisma codziennego. Za miłe słowa dziękujemy.

Panu St. G. w Łodzi: Dr A. Więckowski, telefon 126.20.

Pani W. A. w Poznaniu: Niestety, najzupełniej autentyczny i nadomiar nie odosobniony. Pisała o tym również w „Epoce" wdowa po d-rze Bobrowskim.

Panu T. Z. w Rzeszowie: Różnice te nie są już najważniejsze. Toczy się walka nie tylko z zalewem barbarzyństwa w życiu praktycznym. Samo prawo myślenia i wierzeń jest mocno zagrożone, i w jego obronie łączyć się muszą wszyscy ludzie światli. Czarna reakcja jednakowo wrogo nastawiona jest do socjalistów, jak i do demokratów-katolików.

Pani Z. M. w Lublinie: Dziękujemy za wyrazy uznania i zachęty. Osobistości przez Panią wymienione znajdą się w rubryce „Dzieje współczesne w żywych osobistościach". Wacław Nałkowski zmarł w 1911 r. Jego towarzyszka życia i współpracowniczka, p. Anna Nałkowska, mieszka w Warszawie.

Panu J. B. w Zamościu. Dziś ta odwaga moralna ma jeszcze większe znaczenie. Zresztą pośrednio sam Pan to potwierdza: niewątpliwie budzi nie tylko szacunek u wrogów, ale co ważniejsze, promieniuje na otoczenie. Nie jest bynajmniej tak źle: niech się Pan rozejrzy wokół siebie. Za miłe słowa dziękujemy.

Pani St. W. w Truskawcu. Nie do druku.

Pani B. R. w Bydgoszczy: Artykuł o Komeńskim spełnia właśnie Pani życzenie i to prędzej, niż mogła się Pani tego spodziewać. Bardzo dziękujemy za obydwa jednakowo piękne listy.

Panu W. G. w Łowiczu: Nie możemy obniżyć poziomu. Nie jeden czytelnik siłą rzeczy podciąga się myślowo, a to jest dziś ważniejsze, niż kiedykolwiek. Myli się Pan, w tym środowisku często najbardziej apatyczni umysłowo są właśnie inteligenci i nawet stanowią nieraz podpory obskurantyzmu.

Pani M. F. w Krynicy: Kuracyjne wiersze nie do druku.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się

PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 5174 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.